Najbliżsi przechodnie znajdowali się daleko, co najmniej kilkadziesiąt metrów od nich, a mężczyzna natychmiast wy­prowadził jeszcze jeden cios. Wszystko działo się tak szybko, że Nadia krzyknęła dopiero w momencie, kiedy ostrze znów zmierzało w stronę Horthyego.

Tym razem jednak atakujący się przeliczył, a Gabor wy­kazał się o wiele lepszym refleksem i nóż minął jego tułów. Nadia krzyczała nadal i rozpaczliwie rozglądała się za pomo­cą. Zanim jednak bandyta wyprowadził kolejny atak, doszło go potężne, proste kopnięcie na tułów. Nożownik miał spo­ro szczęścia. Gdyby wąskie spodnie nie blokowały zakresu ruchów Horthyego, trafiłoby ono kilkadziesiąt centymetrów wyżej i zmasakrowało twarz. Pozbawiło go jednak tchu i ode­pchnęło na jakieś dwa metry od Gabora. Nadia zamilkła, za­skoczona przebiegiem sytuacji.

Bandyta nie wypuścił noża, chociaż wyglądał na zszokowa­nego kontratakiem. Horthy nie poszedł za ciosem, obawiając się, że przy najmniejszym błędzie może zostać śmiertelnie zraniony. Miał sporo doświadczeń z bójek na ulicy i zdawał sobie sprawę, że zwykłe poślizgnięcie łatwo może skończyć się tragicznie, dlatego wolał nie przechodzić do ofensywy.

Ustawił się za to jak zawodnik w ringu, czujnie obser­wując ruchy swojego przeciwnika. Tamten złapał powietrze i spojrzał nerwowo w bok. Wyglądało, że sam się porządnie przestraszył, bo zrozumiał, że nie tylko nie trafił na całkiem bezbronną ofiarę, ale jeszcze stracił największą przewagę, jaką dawało mu zaskoczenie.

Nadia ponownie krzyknęła. Dwaj młodzi mężczyźni ru­szyli biegiem w ich stronę. Napastnik nie próbował jednak więcej uderzać i rzucił się do ucieczki. Horthy nie pobiegł za nim. Zamiast tego obejrzał ranę, a właściwie bardziej skale­czenie.

– Nic ci się nie stało? – pytali chłopcy, którzy przybyli na ratunek. Nie mieli chyba nawet dwudziestu lat. Widać było po nich, że dużo trenują na siłowni i aż rwali się do bójki.

– Wezwijmy pogotowie – gorączkowała się Nadia

– Spokojnie. Drasnął mnie. Nóż chyba poszedł po torbie. Nic więcej. Dzięki, panowie. – Podniósł z ziemi torbę.

– Skurwysyn! Szkoda, że nie zdążyliśmy go złapać, ale jeszcze go dorwiemy – odgrażali się młodzi Libańczycy, tro­chę pusząc się przy tym przed Nadią. – Ale ty też sobie nieźle poradziłeś. Trenujesz?

Całe zajście stworzyło między nimi jakąś atmosferę wo­jennej fraternizacji.

Horthy skinął głową, uścisnął im ręce i jeszcze raz podzię­kował za chęć pomocy.

Gorliwie oferowali mu swoje usługi na przyszłość. Był pe­wien, że będą roztrząsać tę sytuację przez najbliższe tygodnie.

Nadia przyglądała mu się z troską. Odetchnęła, widząc, że ostrze zniszczyło koszulkę, ale ledwie drasnęło bok Hor­thyego.

– Boże. Ulżyło mi. Myślałam, że cię zabije, a potem, jak spojrzałam na ciebie, bałam się, że to ty zabijesz jego. Wyglą­dałeś, jakbyś chciał to zrobić.

Spojrzał na nią bez uśmiechu i przyszło jej do głowy, że chyba wcale wiele się nie pomyliła.

– Nie wiedziałam, że węgierscy naukowcy są tacy… hmm… waleczni.

– Mamy mało etatów na uczelniach.